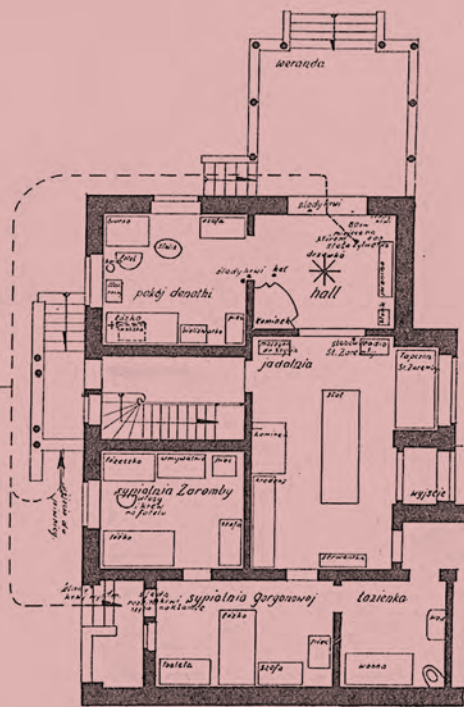


szkieletowe
schody

Glady na salięgu
po środku



Słowo

W SŁOWO

Izabela Łęska

*Pamięci mojej babci Anny Łęskiej,
wielkiej mitotwórczyni*

Dochodzi do narodzin SŁOWA, litera za literą, sylaba po sylabie. Dotykam językiem tylnej ścianki zębów, nabieram w płuca powietrza i nadaję mu rozbieg, by z mych ust wyszedł pojedynczy dźwięk. Wypluwam dźwięczące brzmienie. Przyzwyczajam się do echa własnego głosu w uszach, dostrajam jego tembr. Zaczynam odważnie żenić głoski i ku własnemu zaskoczeniu odkrywam, że umiem posługiwać się całymi wyrazami, SŁOWAMI, że znam ich znaczenie, że buduję z nich zdania, a ze zdań opowieści. Ich charakter zależy tylko ode mnie, może być zabawny lub tragiczny. Może przybrać formę bajki, reportażu, zeznania. Prawdy lub nieprawdy. Pół-fikcji, prawdy zabarwionej lub mistyfikacji, na co tylko nabiorę ochoty. Bo SŁOWO posiada własną wolność, swobodnie przeskakuje między sensami i wymiarami, nie da się go zamknąć w więzieniu. Choćby dokonało największej zbrodni, nie da się go ukarać, bo jest tylko narzędziem. Czy może być również narzędziem zbrodni? Czy to może człowiek jest narzędziem w służbie SŁOWA?

Znowu nabieram powietrza, z mych ust wychodzi zakłęcie. Gor-go-no-wa. Nazwisko, które stało się SŁOWEM, rzeczą, pionkiem. Gorgonowa. SŁOWO, które budzi

respekt i napawa strachem. Samotne, bez imienia, ale wystarczy, by wystraszyć dziecko. „Uważaj, bo przyjdzie po ciebie Gorgonowa!” Ojciec mawiał, że Gorgonową straszyla go jego matka, moja babcia Anna, przesiedlona w wieku szkolnym ze Lwowa. Bo wiedzę o Ricie Gorgonowej wysysało się tam z mlekiem matki. To część trudnego, sentymentalnego dziedzictwa, które ma swoje mniej lub bardziej osobliwe objawy. Jak na przykład okrzyk „Cymes!” na coś smacznego, co ze zdziwieniem lata później, podczas wycieczki do Lwowa, odszyfrowałam w menu słynnej miejscowej restauracji jako potrawkę dyniową. Kolejne słowo.

Lwów był zawsze żywo obecny w opowieściach babci. Nieodzowny naszymi różowych pereł drżał wtedy wesoło na jej szyi. Podczas spacerów padały słowa o żeliwnych odlewach monumentalnych lwów, które ze Lwowa przywędrowały do naszych rodzinnych Gliwic, nowego domu dla wielu przesiedleńców, a potem ich potomków, w tym mnie. Nie zdając sobie sprawy, że „e” jest najbardziej niesforną literą alfabetu i rości sobie prawo do pojawiania się i znikania bez anonsu, odmiana lwów przez przypadki kuląta. Babcia zamiast lwy, mówiła lewy. słO-

wo nie zawsze musi służyć zasad. Zresztą lwy też, ich znikanie i pojawianie się w kolejnych częściach miasta było jednym z niesamowitych elementów mojego dzieciństwa. Raz pilnowały Urzędu Miasta, raz gliwickich Pól Elizejskich, innym razem na rodzinnym spacerze odkrywaliśmy je przed Willą Caro, a lata później wylądowały przed Palmiarnią. Zagadkowy był tylko ich transport, ponieważ nikt nigdy nie był świadkiem takich wydarzeń. Czy władze miasta umyślnie przeprowadzały cały proceder pod osłoną nocy, by wprowadzić mieszkańców w konfuzję? A może w ich mniemaniu były to miłe niespodzianki dla Gliwiczan, którzy tym sposobem nie popadali w śmiertoczną życiową rutynę, która trawiła ponoć nieubłaganie mieszkańców innych miast? Czy decydenci dysponowali ścisłym harmonogramem, kiedy lwy mają zmienić swoje miejsce? Czy też odbywało się to intuicyjnie wedle życzeń rządzącej głowy? Czy właśnie dlatego potrzebna tu była, niespotykana w innych częściach kraju, imponująca ciągłość władzy? A może po prostu lwy same decydowały o sobie? Jako SŁOWA wyemancypowane budziły się, przeciągały mięśnie zastygłe od bezruchu w słońcu i deszczu, by za chwilę nabrać

niezwykłej lekkości i przebiec się troszkę po mieście. Czyniły to wielce ostrożnie, by nikogo nie spłoszyć. Lubiły swój spryt i tajemniczość, a chwila swobodnego sprintu, wynagradzała im mający później nastąpić wielomiesięczny bezruch. Zastygały z gracją, by pilnować kolejnego kwartału miasta, nie zapominając przy tym o własnej nienaganej prezencji.

Inną lwowską opowieścią była ta o Parku Stryjskim, w którym rosły gruszki na wierzbie. Utopia SŁOWA się spełniła. Podobno grusze zostały eksperymentalnie zmodyfikowane przez jednego z inżynierów z tamtejszej politechniki, który w burzliwej kłótni przy słynnych kawiarnianych, marmurowych stolikach zarzekał się własnym honorem, że jest to możliwe. Gotowy do wyzwania, wielce wzburzonym gestem zmasał rękawem koszuli rozpoczęty przed chwilą matematyczny ciąg znaków samego Stefana Banacha i wzięwszy kredę do ręki zaczął planować ten alchemiczny proceder. Świadkowie wydarzenia pieczołowicie spisali później te cenne, historyczne zapiski do opasłego zeszytu zawsze obecnego w Kawiarni Szkockiej. I dobrze, bo lata później posłużyły one jako dowód na to, że inżynieria genetyczna swoje początki



miała właśnie we Lwowie. Po miesiącach prób i błędów, bezsennych nocy w laboratorium i wystawienia własnego małżeństwa na solidną próbę wytrzymałościową udało się! W dowód uznania dla naukowca gruszą wierzbolistną obsadzono jedną z alei największego w mieście Parku Stryjskiego. Tam też odbywały się słynne Targi Wschodnie, na które tłumnie zjeżdżali przedstawiciele przemysłu z ościennych państw. Do historii przeszła ósma edycja targów, kiedy to większy podziw niż przemysłowe eksponaty zdobyły karłowate drzewka dekorujące przestrzenie między pawilonami. Drobne, czerwieniące się od wrześniowego słońca gruszki przyciągały uwagę i rodziły wiele pytań. Zdumionym przywoływano niedawne wydarzenia i choć drzewa nie spełniały produkcyjnych wymogów, do których przywykli przemysłowcy, grusza boleśnie poruszała w nich jakąś głęboko pogrzebaną, romantyczną strunę. Drzewka zgodnie okrzyknięto lwowskim cudem i z niecierpliwością czekano na kolejną edycję imprezy, by w następnym roku znów móc je podziwiać. Same drzewa, z racji drobnych gabarytów, w sam raz zdążyły wyrosnąć na czas dzieciństwa mojej babci. Grusza odporna na mróz, niewymagająca głębo-

kiego ukorzenia, w dodatku roślina ozdobna, stała się dowodem na niemożliwe. Samo SŁOWO wyzwało rzeczywistość na pojedynek. Niestety owoce były zbyt twarde, by je konsumować, ale nawet niejadalne nie okazały się tylko częścią obietnicą upartego inżyniera.

SŁOWO umyka i nabiera nowego znaczenia tak jak gruszki na wierzbie. Babcia zresztą bardzo często używała tego określenia i gdyby było to możliwe, sama obsadziłaby ukochanymi gruszami całe swoje gliwickie mieszkanie. Pozostały jej jednak jedynie wspominki krainy dzieciństwa i zapewnienie, że gdyby się urodzić miała znów, to tylko we Lwowie. Spacerzy w towarzystwie rodziców i siostry. Wymarzone miasto, spokój, sielanka. W takiej idylli do pewnego momentu toczyło się również życie w domu lwowskiego inżyniera Henryka Zaremby.

Już pod koniec XIX wieku we Lwowie uruchomiono pierwszą, niewielką centralę telefoniczną, do której podłączonych było prawie 4 000 numerów. Ojciec mojego, wedle czarującego, archaicznego już nazewnictwa, dziadka-wujka, czyli męża siostry babci, obejmował prominentne stanowisko dyrektora centrali telefonicznej. Posada taka zapewniała dostatnie życie całej rodzinie. Pozwalała nawet być właścicielem jednego z nielicznych w tym czasie aut we Lwowie. Dyrektor Rudziński cieszył się szacunkiem całej społeczności. Z aparatów telefonicznych korzystały w głównej mierze urzędy i instytucje oraz co znakomitsi mieszkańcy. Rodzina również posiadała telefon, ponoć numer trzysta coś. Opatentowany na czas wynalazek szkockiego naukowca pozwalał lwowianom cieszyć się opinią jednego z najbardziej postępowych miast w kraju. Wieść mówi, o pierwszych SŁOWACH wynalazcy wypowiedzianych przez telefon:

– Proszę przyjść, potrzebuję Pana.

Na co entuzjastycznie wykrzyczana została odpowiedź:

– Słyszę Cię! Słyszę SŁOWA!

Długość napowietrznej linii telefonicznej rośnie, bo coraz więcej mieszkańców docenia nowoczesny wyna-

lazeł. Sieć stopniowo zaczyna oplatać miasto niczym pajęczyna. Dziennie wędrują dzięki niej setki słów. Bardziej bądź mniej serdecznych, użytecznych bądź kurtuazyjnych. A czasem nawet słów potrafiących uratować ludzkie życie. Do swoich domostw, siedzib i biur lwo- wianie przyjmują stacjonarne aparaty, jeszcze bez tarcz numerowych, które komunikowane są ze stacją bazową. Dzwoniące wtyczki zostają przełączane do wybranych gniazd odbierających. Cały ten proceder jest obsługi- wany ręcznie przez telefonistki, więc aby zadzwonić, należy podać numer, który zostanie wybrany w centra- li poprzez manipulację odpowiednimi przełącznikami. Prosty mechanizm pozwala przesyłać informacje, które od tej pory dzień w dzień odbywają wędrówkę. Nikt nie zdaje sobie sprawy, że to za jego pomocą już niedługo przesłane zostaną szokujące słowa, które raz na zawsze zmienią losy pewnej rodziny i na trwałe wpiszą się w hi- storię tego miasta.

Data jest ciekawa, choć można by ją nieco ubarwić. Być może na potrzeby opowieści możemy przyjąć, że był to Sylwester? To przecież tylko kwestia nazewnictwa. Niech nas nie krępuje SŁOWO. Byłoby dramatyczniej. Czyż zamiast nocy z 30 na 31 grudnia, lepiej nie brzmiałyby wydarzenia w nocy z 31 grudnia na 1 stycznia? Symboliczny moment przejścia, zmiany, wkroczenia w nowe i może, gdyby to rzeczywiście Gorgonowa, marząca od zawsze o karierze aktorki, dokonała tej zbrodni, faktycznie wybrałaby bardziej filmową datę? A może nie myślała o takich kwestiach i zdecydował jednak afekt? W 1931 roku ta noc przypada ze środy na czwartek. Są to na zawsze ostatnie beztrioskie chwile dla Gorgonowej, Zaremby, Lusi, Stasia i Romci. Od tej pory ich życie będzie się toczyć pod jarzmem morderstwa, którego ofiarą pada Elżbieta, Elunia, Lusja Zarembianka, siedemnastolatka. Od tej pory ich życiem będą żyć inni, czekając z niecierpliwością na każdą poszlakę, plotkę, domysł. Od tej pory im i ich potomkom przyjdzie prowadzić bardzo ciężkie życie. Przyjdzie im się ukrywać, zmieniać miejsca zamieszkania, żyć w obawie przed wykryciem ich tożsamości, już zawsze dociekać zadośćuczynienia. Choć nie



ma wtedy jeszcze celebrytów ani paparazzich, ich historia staje się pożywką dla mediów na niespotykaną do tej pory skalę. Rozpala wyobraźnię i umysły całych społeczności i narodów, mężczyzn i kobiet, zwykłych obywateli i najtęższe umysły w kraju. Ba! Sprawa pchnie do przodu dziedzinę kryminalistyki, stając przed koniecznością włączenia do rozprawy sądowej najaktualniejszych odkryć nauki z dziedziny hematologii. Prawie sto lat temu cały Lwów popada w iście psychotyczny stan. Sprawa Gorgonowej nie umiera już nigdy, bo żyje aż do dziś.

Scenariusz tragedii zamknięty zostaje w bajecznych okolicznościach. Fade in. Jest ten wielce przyjemny czas pomiędzy Świętami Bożego Narodzenia a Nowym Rokiem. Cała okolica ulicy Marszałkowskiej w podlwow-skich Brzuchowicach pokrywa się spokojnym snem i gęstym śniegiem. W jednej z willi odprowadzony do łóżka przez dzieci inżynier Henryk Zaremba ma wyraźny sen. Zachowuje jednak logikę myślenia i świadomość miejsca. Jest zima, na zewnątrz pada śnieg, więc co robi tutaj egzotyczny ptak? Bajecznie kolorowy koliber stopniowo zamienia się w mrocznego sępa. Kim jest ten sęp? Rzecz musiała wydarzyć się parę minut po północy, to

wtedy z tej dziwnej mary wyrывa go krzyk syna. Lusia zabita! Już przez całe życie będzie się zastanawiać, czy rzeczywiście się obudził, wolałby jednak nie. SŁOWA te nie docierają do niego z całą logiką od razu. Jak każdy ojciec Zaremba nie sądził, że kiedykolwiek je usłyszy. Nie jest więc przygotowany ani na ich brzmienie, ani na ich brzemień. Lusia. Zabita. Lusia. Elżbieta zabita. Okropność zaczyna do niego docierać, gdy przed oczami staje mu widok zakrwawionej córki, leżącej na łóżku w swoim perłoworóżowym pokoju, tam gdzie jeszcze parę godzin wcześniej poszła spać.

Następują gorączkowe ruchy. Gorgonowa przyprowadza lekarza Tsalę, który stwierdza zgon, oraz ogrodnika, którego z kolei Zaremba wysyła po policję. Cięcie. Nie-rozgarnięty, zaspany żandarm po nieudolnych oględzinach idzie zatelefonować do oddalonych o kilometr od willi, magazynów amunicji, gdzie znajduje się najbliższy aparat telefoniczny. Zgłoszenie w centrali odbiera sam dyrektor Rudziński, jak później zezna w sądzie, gdyż zatrudnione w zakładzie operatorki z powodu świątecznego okresu spędzały czas z rodzinami i wspaniałomyślny kierownik, ku rozpaczy swojej małżonki, zgodził się na

zbyt liczne urlopy. Nie miał więc wyjścia i aby zapewnić funkcjonalność swojego zakładu, musiał sam obsługiwać mechanizm centrali. Całe szczęście poświęteczny okres był raczej spokojny i nie miał zbyt wiele pracy, tym bardziej zdziwił go nocny, nerwowy telefon. Intuicyjnie czuł, że nie może on zapowiadać niczego dobrego. Rozmówca istotnie jest wyraźnie zdenerwowany, nie panuje nad głosem, nie potrafi jasno wyrazić o co mu chodzi, SŁOWA się rozłazą.

Nic tu się nie zgadza. Wezwany lekarz zauważa, że ślady na świeżym śniegu wokół willi mogą należeć tylko do domowników, Lusia zawsze starannie sprawdzała, czy dom jest zamknięty, bo kilka tygodni wcześniej dokonano tu włamania. Nastolatka również, ponoć obawiając się macochy, sypiała z Romusią. Tej ostatniej nocy zostało jej to jednak kategorycznie odmówione. Zaremba zauważa, że w całym zamieszaniu Gorgonowa szczelnie okrywa się futrem. Policjanci ani nie ściągają odcisków palców, ani nie fotografują śladów wokół budynku, a te znikają bezpowrotnie w systematycznych, nieubłaganych opadach śniegu, niwecząc na zawsze szansę na rozwiązanie zbrodni. Gorgonowa ma raz białą koszulę

nocną, innym razem w kolorze dojrzałej gruszki, raz można dostrzec jej twarz w świetle księżyca, jak ucieka po dokonanej zbrodni, kiedy indziej nie jest się tego już tak pewnym, potem jest to zwyczajnie niemożliwe. SŁOWA świecą triumfy. To do nich należy teraz ludzkie życie. Do więzienia posądzeni o zмовę trafiają obydwójce, Zaręmba i Gorgonowa, po akcie oskarżenia zostaje w nim tylko ona.

Ta piękna kobieta w momencie wydarzeń ma 30 lat. Urodzona na terenach dzisiejszej Chorwacji jako dziecko nie zaznała zbyt wiele rodzicielskiej miłości, ojciec umiera szybko, matka oddaje ją do sierocińca. Jej mąż Erwin, pod którego nazwiskiem już niedługo stanie się ogólnie znana, już wcześniej prowadzący rozwiązyły tryb życia, pod pretekstem zagranicznej pracy w Stanach zostawia żonę na pastwę swojej rodziny. Rita jest molestowana, oczerniana, a na koniec wyrzucona z domu bez możliwości odwiedzania własnego syna! Musząc sobie radzić samodzielnie, znajduje pracę jako kelnerka w jednej ze słynnych lwowskich cukierni. Zbliżenie na nogi Margarity Gorgonowej. Jej fizyczne atrybuty wyraźnie podnoszą sprzedaż słodkich wyrobów i przyciągają klientelę, między innymi architekta Zarembę. Ten samotny ojciec z dwójką dzieci i żoną w zakładzie dla chorych umysłowo, szybko proponuje Ricie rolę guwernantki i bony w swoim domu, podmiejskiej willi w Brzuchowicach. Czy obiecywał jej gruszki na wierzbie? Czy mamily ją jego SŁOWA?

Zarembę z żoną, która bez nadziei na wyzdrowienie przebywa w zamkniętym ośrodku opieki i która ginie

lata później w wyniku samowolnej defenestracji, łącząc SŁOWA małżeńskiej przysięgi. Inżynier nie rozwodzi się z matką swoich dzieci, ale nie może również wejść w kolejny oficjalny związek. Czy myśli o małżeństwie z Ritą? Może nie od razu. Z początku w domu faktycznie brakuje kobiecej ręki i nowa bona, co prawda przyjęta bez żadnych rekomendacji, sprawdza się wyśmienicie. Dzieci ją lubią, dom wypełnia się śmiechem. Stopniowo jednak stosunki inżyniera i urodziwej opiekunki domu nabierają charakteru miłosnego. Niedługo narodzi się nawet owoc tego związku – córka Roma. Rita zamieszkuje w bruchowickiej willi, dzieci na co dzień uczą się, a inżynier pracuje w samym Lwowie, więc kobieta nie ma zbyt wielu obowiązków za to dużo swobody. Ponadto dla Rity jest to znaczny awans społeczny. Ma wrażenie, że jej życie obrało nareszcie należyty kierunek, czuje jakby zgasły światła i obraz jej samej zaczął wyświeślać się na ekranie w kinie. Co prawda oficjalnie nie jest żoną inżyniera, ale kto przywiązywałby wagę do szczegółów, kto by tak dociekał konkretnych słów? Kiedy Zaremba podczas przyjęć w Bruchowicach przedstawia ją jako swoją Panią, nikt nie zadaje wścibskich pytań. Zakłada



się, że są małżeństwem, wszyscy dookoła wierzą. Bo nikt nie podważa słów padających z ust powszechnie szanowanego lwowskiego architekta.

Czy jednak Rita popełnia kardynalny błąd, nie naciskając na małżeństwo? Wobec zaistniałych okoliczności rodzinnych i przy odpowiednim wysiłku, rozwód Zaremby z matką Lusi i Stasia nie byłby niemożliwy. Czy jednak zwyciężają sentymenty i męski honor? Rita również ma prawnie niewyjaśnioną sytuację, jej mąż Erwin nie daje znaku życia, nie wiadomo, czy żyje, zaginął, czy nie ma ochoty wracać do żony? Może Rita jest chwilowo tak szczęśliwa, że nie rozważa dalekiej przyszłości? A może konieczne do dopełnienia formalności przerażają obydwójce? Jednakże wejście w oficjalny związek stanowiłoby dla Rity zabezpieczenie na przyszłość. Uratowałyby również przed bezwzględną opinią publiczną, która łaskawszym okiem patrzyłaby na żonę. Rzeczywiście nadchodzi najgorsze. Stosunki Zaremby i Rity ulegają pogorszeniu, wspólne życie staje się nieznośne. Kobieta wpada w rozpacz. Czy to wtedy narasta konflikt Rity z Lusią? Nastolatka nie jest zadowolona z obecności kobiety w życiu ojca i coraz głośniejszy daje o tym znać,

choć bardzo kocha swoją małą przyrodną siostrę. Sytuacja jest bardzo zagmatwana. Rita chroni tylko SŁOWO dane jej przez partnera. Mają wspólnie dziecko, a architekt jest mężczyzną słownym. Organizuje rozwiązanie, po Nowym Roku Rita z Romusią mają zostać w willi w Brzuchowicach, mężczyzna łożyć będzie na ich utrzymanie, a sam z dwójką starszych dzieci przeniesie się do Lwowa. W życiu rodziny ma rzeczywiście nastąpić moment zwrotny, o nowym początku łatwiej zdecydować, gdy ten rymuje się z nowym kalendarzem. Domowa atmosfera jest jednak w tym czasie bardzo napięta i później na procesie sądowym nietrudno cytować ostre SŁOWA Rity, która znajduje się na skraju załamania nerwowego. Grunt sypie jej się pod nogami, zresztą nie pierwszy raz w życiu. Może tym bardziej z tego powodu reaguje nerwowo?

Akcja! Rozpoczyna się proces, który stanie się najgłośniejszą rozprawą dwudziestolecia międzywojennego. Do tej pory głównym nośnikiem informacji w sprawie było SŁOWO. To ono przepoczwarzało się, wlatywało do uszu w jednej formie i wychodziło ustami już w innej. Rozdzwaniają się telefony, kierownik Rudziński proponuje w swojej centrali kolejne etaty, każda para rąk do łączności się przyda. Znacznie częstsze są teraz telefony międzymiastowe, a nawet międzynarodowe. Zostaje wykupionych coraz więcej abonamentów, wpływa coraz więcej wniosków z prośbą o instalację aparatów telefonicznych we lwowskich domach. Rozmach nowinki technologicznej kwitnie, szefostwo jest bardzo zadowolone. Rudziński może spodziewać się podwyżki. W ruch idą też telegramy i listy, uruchomione zostają wszystkie możliwe nośniki SŁOWA. Lwowianie są niezdrowo podekscytowani. SŁOWO potęguje tę sytuację, nie trzyma swojej formy, rozlewa się, niesie emocje, a nie fakty. Rani, zdradza i pomiata. „Ilustrowany Kurier Codzienny” świadom tej sytuacji wysyła na miejsce rozprawy sądowej dwóch stenografów, którzy pracują na zmianę. Przedruki z procesu są tak dokładne, że nie wstydzą się do nich sięgać

sami prokuratorzy i sędziowie. Nie ginie żadne SŁOWO, przecinek ani kropka! SŁOWO zostaje przyszpilone. Ale tylko w formie drukowanej, tylko na sali rozpraw. To co się dzieje na ulicy, w domach, w barach jest inną bajką, we lwowskim eterze w dalszym ciągu wrze. Tam SŁOWO pozostaje na wolności.

W dniu rozprawy wypowiedzi rzuca się z początku szepem. Zarówno akt oskarżenia, jak i pierwsze SŁOWA samej oskarżonej. Nikt nie ma jednak problemu z usłyszeniem zeznań, napięcie na sali sięga zenitu, wszyscy, nawet ci, którzy mają słaby słuch, nagle słyszą jakby więcej. Z każdym kolejnym SŁOWEM Gorgonowa nabiera animuszu, zupełnie tak jakby czerpała z niego moc. Dziennikarze pierwszy raz widzą na żywo swoją ofiarę. Plotki zdążyły już zrobić z niej potwora, tymczasem na sali pojawia się kobieta zadbana i elegancka, która mówi spokojnie i inteligentnie. I zdobywa sympatię czytelników. Bo SŁOWA są dla niej nagle łaskawsze.

Na wydarzeniu wzbogacają się gazety, dziennikarze ćwiczą reporterski styl, materiał jest obfity, choć prawda oddala się z każdym dniem. Bulwersuje, że oskarżoną jest kobieta. Do tego kochanka i cudzoziemka z dziec-

kiem z nieformalnego związku. Nawet imię potencjalnej morderczyni zostaje skrócone. Zamiast Margerity, Rita. Żeby brzmiało ostrzej, żeby nie było wątpliwości, kto jest tu winny, groźny i zdolny do zbrodni. Gorgonowa jest też bardzo urodziwa, co dodaje całej sprawie dodatkowego rozgłosu. Famme fatale, diablica, wiedźma. SŁOWA wpadają w istny szal. Elektryzuje również wiadomość o pośmiertnej defloracji Lusi. Lekarze stwierdzają znaczne uszkodzenie narządów rodnych, których dokonało jakieś narzędzie, na przykład to, którym ofiara została zabita. Czyn ten ma zwrócić uwagę na męskiego sprawcę. To kolejny argument, że zamordowała jednak Gorgonowa. SŁOWA całkowicie wyrywają się spod kontroli.

W opinii wielu o wyjątkowości wydarzenia decyduje mnogość drobiazgów. Ich nazwy wdzięcznie dźwięczą w uszach. Detal. Wszystko toczy się niby we śnie lub filmie. SŁOWA. Kilof do lodu, lichtarz, koszula nocna, biustonosz, chusteczka do nosa, cień postaci, zbita szybka, zapach nafty, ślady na śniegu, skaleczona ręka, kilka włosów z futra, krople krwi, skorupki szklanki, ogarek świeczki. Przedmioty. Decydują o życiu i śmierci, wolności i dożywociu. Rita ma również pecha, że w jej sprawie



sprawozdają kobiety. Te są do niej nastawione przeważnie niechętnie. Właściwie jedną z nielicznych wstawiających się za nią niewiast jest Elga Kern. Niemiecka pisarka i dziennikarka. Z tego, że zawzięcie broni Gorgonowej, robi się właściwie sprawa narodowościowa. Tutaj granice państw chyba przestają mieć znaczenie. Okazuje się jednak, że jest mała przeszkoda. Kern nie zna języka polskiego i nie jest w stanie rozumieć zawiłych procesowych tłumaczeń. SŁOWO jest jednak nieubłagane. Kiedy sędzia bez zapowiedzi przenosi rozprawę na wizję lokalną do Brzuchowic, wieść ekspresowo rozchodzi się po mieście, więźniarka jedzie otoczona z dwóch stron wrogimi gapiami. Krzyczą, ubliżają, odgrażają się. SŁOWO. Znow przeważnie kobiety, podobno jest ich pięć tysięcy. Po odegranych scenach, wielu kolejnych próbach odtwarzania tych samych czynności i drobiazgowego mierzenia czasów na podstawie zeznań kolejnych członków rodziny, o zmroku w drodze powrotnej wóz z oskarżoną obrzucony zostaje kamieniami. To znow tłum, w którym przeważają kobiety. Chcą dokonać samosądu na dziecibójczyni. Lwów znajduje się w stanie najwyższego roze-mocjonowania, wręcz w hysterii, zbiorowej psychozie.

Ponoć niepokojące wieści i trwająca wiele miesięcy rozprawa odebrała rozum zwłaszcza wrażliwym na takie warunki kobietom, szczególnie tym brzemiennym. Podobno też w tym miejscu nie wydarzało się to pierwszy raz. W Brzuchowicach dochodziło już do incydentów zbiorowej hysterii ciężarnych. Stąd też prawdopodobnie pochodziła nawet nazwa miejsca. I znów kobietom przy nadziei zostały odebrane pokłady rozsądku, gdyż zawalił się ich solidnie ugruntowany światopogląd. SŁOWO głosiło do tej pory, że płeć piękna do morderstwa zdolna nie jest. Historia Gorgonowej strasznie wzburza im krew, gdyż pokazuje inną rzeczywistość. I to taką, którą samym kobietom bardzo trudno przyjąć do wiadomości. Niewiasta miała być opiekunką, czułą matką, ostoją rodziny i wartości. Zatem lwowskie kobiety rozumieją czyn Gorgonowej, tej obrzydliwej morderczyni, jako atak na swoją własną płeć, na jej niewzruszony, łagodny wizerunek. W szczególnym wzburzeniu znajdują się kobiety w ciąży, które, nie zważając na mróz, własne samopoczucie i zdrowie, godzinami wyczekują okazji, by zdziałać swoje, by choć małym kamyczkiem drasnąć oskarżoną. Gorgonowej nienawidzą z całego serca. Czują teraz rodzaj misji, aby jeszcze przed rozwiązaniem

dołożyć swoje pięć groszy. Bo jakże mają teraz spełnić swoją nadchodzącą wielkimi krokami, życiową matczyną rolę? Jak mają to zrobić, jeśli odebrane zostało im niewzruszone przekonanie? SŁOWO się kurczy i zatacza. Teraz nie są pewne samych siebie. Być może w chwili słabości, w natłoku obowiązków, na skutek frustracji i samotności, w nich również odezwie się morderczy zew? Bo teraz wiedzą, że kobieta może go w sobie mieć, że może sobie na niego pozwolić. A to wszystko wina Gorgonowej! SŁOWA mszczą się. Bez niej żyło się spokojnie. Miały poukładane życia i plany na przyszłość, a SŁOWA posiadały jasno przypisane definicje. Ta niezdrowa atmosfera, w której dochodzi do przesunięć w obrębie SŁÓW, w której SŁOWA toczą w sobie wiele nienawiści, oddziałuje bardzo silnie na wszystkie noszone w napęczniałych brzuchach dzieci. Wszystkie one już na zawsze pozostaną pod urokiem SŁOWA, które mami i gmatwa. SŁOWA, które ma moc burzyć hormony i krew. I kiedy takie SŁOWO dostało się raz do obiegu, już w nim uparcie pozostaje. Dziedzictwo to krąży w żyłach niczym informacje w sieci telefonicznej, wykorzystuje każde najmniejsze rozgałęzienie, żeby dystrybuować informację. A przecież SŁOWO ma wielką moc, moc tworzenia i definiowania rzeczywistości.

Babcia Anna, matka ojca była właśnie jednym z takich noszonych w tym czasie w brzuchu dzieci. Urodziła się latem 20 lipca, więc czas prababcinej ciąży przypadła prawie dokładnie na czas największej histerii w dziejach Lwowa. SŁOWO trawiło żyły prababci, jego cząsteczki nagromadzały się w ciele i transportowane były przez pępowinę do innego, rozwijającego się życia. SŁOWO żyło potem w babci i brało aktywny udział w całym jej życiorysie. Miała na przykład wiele wcieleń, raz była nauczycielką języka szwedzkiego, raz milionerką, innym razem Panią Doktorową. Kim tylko chciała. SŁOWO nie stanowiło dla niej przeszkody, żyła z nim za pan brat i traktowała bardzo swobodnie. Chyba lubiła wychodzić za mąż. Wybranków było czterech, trzech z nich przyszło jej pochować. Mąż pierwszy, Tadeusz, mój dziadek, przy którym metryka jest jednak nieubłagana i nigdy nie było mi dane go poznać. Potem Henryk, Henio, którego pamiętam tylko jako wielki brzuch, po którym skacze jako kilkulatka, no i Ryszard, postać dla mnie najbliższa figurze dziadka, utykający, z chorą nogą po wypadku motocyklowym, niezmiennie zajmujący swoje miejsce w kuchni przed telewizorem. Czasem groźny, wcielający

się w postać policjanta, gdy na pewniaka idę otworzyć drzwi, czytający historyczne książki, mroczne i nieciekawe dla dziewczynki w moim wieku, rugający swoją córkę za zbyt głośny śmiech, który uwielbiam. No i ostatni, Zenon, który niechlubnie chciał sięgnąć po rodzinny skarb. Z nim właściwie ślubu nie było, ale kto zwracałby uwagę na takie drobiazgi. Babcia, potomkini rozhisteryzowanych, lwowskich kobiet, którym zawalił się światopogląd, rozumiała, że SŁOWO ma moc. Oznajmia się informację i ta wchodzi w życie ze skutkiem natychmiastowym. Zenon powiedział babci podobno, że czekał na nią całe życie. Doczekał się, a nawet ją przeżył. Popęłnił jednak ten sam błąd co Rita, oficjalnie związek nigdy nie został zawiązany, więc nie mógł rościć sobie żadnych praw majątkowych, SŁOWO jednak czasem wymaga potwierdzenia w dokumentach.

Wiadomość o śmierci babci zostaje mi przekazana nie inaczej niż przez telefon. SŁOWO zostaje rozdystrybuowane siecią, która służy do komunikacji. Ostateczne SŁOWO padają z jednej strony rozgałęzionego systemu, a odebrane zostają ze strony drugiej. Litery jak różowe perły naszyjnika składają się w całość, w wiadomość,

która była spodziewana, jednak zaskakuje. Zgłoski nawlekają się ciurkiem i nabierają znaczenia, kiedy łączą się w sylaby, w SŁOWA. Babcia nie żyje. W odpowiedzi pozostaje tylko nerwowo stukać palcami o blat stołu, co z kolei zaczyna przywodzić na myśl wspomnienia. Pamiętam doskonale, jak podczas wizyt u babci czarujące było dla mnie wybieranie numeru na obrotowej tarczy telefonu. Wkładanie paluszka w dziurkę z podyktowaną cyfrą i obrót. Pełne stresu kilkusekundowe poszukiwanie kolejnej cyfry i znów obrót. Chwilowy oczopląs, cyfra, ruch i oddanie słuchawki babci, która na moją prośbę dzwoniła na przykład do zegarynki pod pretekstem rzekomo niedziałającego zegara. Pamiętam też moment, kiedy babcia zaopatrzyła się w pierwszy telefon komórkowy. Bardzo cieszyło ją, że wracając z miasta, może zadzwonić do męża, wtedy akurat Ryszarda, i poprosić go o obranie ziemniaków na obiad. SŁOWO wiele lat później wędrowało już bezprzewodowo.

Oprócz tych wspomnień po babci został mi zestaw biżuterii ze sznurem słynnych różowych pereł na czelę i trzy ręcznie malowane kieliszki. Trochę pomagałam rodzicom uporządkować mieszkanie po babci. To wła-

śnie zostaje po człowieku. Rzeczy, które można nazwać SŁOWAMI. Szafy, szafeczki i półki upstrzone niezliczoną ilością przedmiotów. W sposób metaforyczny charakteryzowały one postać babci. Otwierało się szufladkę, a tam wysypywała się lawina spraw, w której można było drążyć, w dzbanuszkę papierek, w papierku stara landrynka. Taka szkatułkowa, nigdy nie kończąca się konstrukcja, która snuje się na granicy snu i jawy. Tak jak babcia, która swobodnie pojawiała się i znikwała z mojego życia, kiedy tylko miała na to ochotę. Kiedy widziałam ją po raz ostatni, już na szpitalnym łożu śmierci, była właściwie cieniem kobiety z mojego dzieciństwa, barwnej pełnokrwistej postaci, elegantki ze śladami podkładu na bluzce, siedemdziesięciosześcioletki przychodzącej na swoje przyjęcie urodzinowe tanecznym krokiem w gorsecie i z nieogoloną pachą. Mówiącej do siebie pod nosem przy odgłosach nieodżałowanego tramwaju przejeżdżającego pod oknem. Z nonszalancją traktującej domowe obowiązki, o czym przekonałam się, gdy podczas odrabiania u babci lekcji na masywnej brązowej kanapie, z fototapetą egzotycznego ogrodu pełnego palm za plecami, kartkę zeszytu przecięła mi mrówka! Babcia



z niezmienną fryzurą, z zapachem rózu marki Bourgois, którego sama sentymentalnie do tej pory używam, lubiła pozory i blichtr, wygodę, wakacje i spokojne życie. Może więcej jej we mnie niż kiedykolwiek wcześniej sądziłam? Uświadamiają mi to SŁOWA.

W ostatnich chwilach niestety nie umiałam nawet jej dotknąć. Nie widziałam jej od dziesięciu lat i zderzenie z rzeczywistością było dla mnie zbyt szokujące. Na całe szczęście rzeczywistość chyba się jej już mieszała. A może zawsze miała ku temu szczególne predyspozycje? Przecież była spadkobierczynią SŁOWA. Za życia nigdy nie przywiązywała się zbyt mocno do prawdy i twardych faktów, czemu miałyby czynić inaczej u progu śmierci? Podejść do niej nie umiałam, żegnałam się bezdotykowo, niemo, samą swoją obecnością. Żadne SŁOWO nie wyrwało się z moich ust, choć mogłoby może mieć tu wielką moc. Być może jednak czasem nawet SŁOWO błędnie i jest tak cicho, tak bezsłownie jak tylko może być. To co później, w drodze powrotnej, w samochodzie przy rodzicach uwolniło się z moich trzewi, choć SŁOWAMI również nie było, przynajmniej nie można było temu zarzucić rozminięcia się z prawdą. SŁOWO zniknęło.

Gdyby się urodzić miała znów, to tylko we Lwowie.

Na pogrzebie i stypie dochodzi do sytuacji przewidywalnych, pretensjonalnych, banalnych. Że można było nie tracić kontaktu, że szkoda, że smutno. SŁOWO ożyło ponownie i panoszyło się z całą swobodą. Nie było już postaci przypisanej do imienia zmarłej, więc nie było komu obrać korony mitomanki. Ale chętnych na jej miejsce nie brakowało. Wiele by można jej zarzucić, ale odebrać nie można swobody w podejściu do SŁOWA. Na stole ozdobionym do stypowego obiadu stały w koszyku owoce z gruszy wierzbolistnej. KU PAMIĘCI TEJ, KTÓRA OBIECYWAŁA GRUSZKI NA WIERZBIE.

Podobno grób Lusi Zarembianki na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie przez zaskakująco długi czas po tragedii pokryty był obficie kwiatami i tłącymi się zniczami. Pokój jej duszy.

Krew przenosi informacje zupełnie tak jak sieć telefoniczna. Czy naukowcom przyszło do głowy oprzeć system komunikacji na tej pięknej, skomplikowanej strukturze, którą każdy nosi w swoim ciele? Czy też ich poczynania były skrajnie racjonalne i dostrzeganie podobieństwa do ludzkiego krwioobiegu uznaliby za kompletną bzdurę? Skomplikowany, rozgałęziający się układ swój rdzeń ma w najtęższych arteriach, by stopniowo pomniejszać swe rozmiary aż do najmniejszych naczyń włosowatych. To do ich krwi dotrzeć najtrudniej, ale nawet tam, gdzie najwężej, znajduje się cała prawda o nich samych. Poprzez krew dziedziczymy to, co z łatwością zauważamy – kolor oczu, włosów, karnację, oraz to z czym walczyć trudniej – charakter, odruch skubania paznokci, SŁOWO.

Grupa krwi to informacja, która może przesądzić w sprawie sądowej, może zadecydować o winie lub jej braku. Ale aby to się udało, należy mieć czystą próbkę życionośnej substancji. Poprzez zaniechania i brak profesjonalizmu w sprawie Gorgonowej nie ma wystarczającej ilości dowodów, są tylko okrutne SŁOWA. Jest chusteczka z piwnicy z zagadkową krwią, jest krew na koszuli nocnej i na futrze, no i na narzędziu zbrodni,



które jednak godzinami leżało na dnie zmarzniętego basenu. Te cenne strzępki informacji traktowane są niczym skarb narodowy. Badania krwi zostają powierzone wielkiemu autorytetowi w dziedzinie hematologii – profesorowi Ludwikowi Hirszfeldowi. To właśnie on nadał nazwy grupom krwi. Krew się go słucha, jego SŁOWO wiele znaczy. Ekspertyza zostanie ogłoszona niebawem, wyniki już podróżują z Warszawy w przesyłce poleconej. Ceny biletów na rozprawę osiągają niebotyczne ceny, w punktach loteryjnych przyjmowane są zakłady co do brzmienia wyroku. Wśród przysięgłych sami mężczyźni, którzy potrafią bardziej związać swoje uczucia i posługiwać się faktami. Prawda krwi ma zwyciężyć. Krew ma być ostatnim SŁOWEM.

Krwi okazuje się jednak być za mało. Nie przeszkadza to jednak sali rozpraw, która wygląda jak na amerykańskim filmie, pęka w szwach. Drewniane ciężkie ławy wysłuchały tu już niejednego. To wspaniała sceneria dla SŁOWA, które dziś święci największe triumfy. Na taki moment w karierze czeka się całe życie. Oskarżyciel Laniewski przemawia z wielką pasją przez kilka godzin, SŁOWA płyną, nie zawsze kurczowo trzymając się tego,

co się wydarzyło. Czasem domniemają, koloryzują, zaokrąglają. Wywierają jednak piorunujące wrażenie. Robi się wieczór. Końcowa mowa obrońcy Axera ma zadecydować o życiu Gorgonowej. Tutaj SŁOWA są ostrożniejsze, raczej odwracają uwagę niż godzą, przypuszczają, wędrują za przeoczonymi tropami. Ostateczny, odczytany drżącym głosem wynik to dziewięć na tak, trzy na nie. Niby porażka, ale i tak mocno zadziwiają nieskazyjące głosy. Według prawodawstwa austriackiego wyrok na Gorgonowej to śmierć przez powieszenie. SŁOWA zdecydowały.

Do wykonania wyroku jednak nie dojdzie, bo okazuje się, że oskarżona jest w ciąży. Są też wątpliwości co do rzetelności czynności dochodzeniowych w brzuchowickiej willi. Na sali sądowej również właściwie nie zostały przedstawione dowody niezbitie świadczące o winie Gorgonowej. Wyrok szeroko komentowany jest jako pomyłka sądowa, do której doszło w szybkim, poszlakowym procesie wymuszonym przez rozhisteryzowany tłum. O brak poczytalności oskarżany jest cały Lwów, który poddał się zbiorowej psychozie. Będzie apelacja w Krakowie. Tymczasem jednak brzemienną obowiąz-

zuje okres ochronny. Córka Gorgonowej, tak jak moja własna babcia, staje się największą spadkobierczynią SŁOWA. Cały proces przeżywa przecież z matką. Już jako płód wystawiona jest na promieniowanie złowróżbnego SŁOWA. Z tym większym krzykiem 20 września rodzi się Ewa. Jej imię to ponoć pierwsze litery nazwisk obrońców matki, czyli Ettingera, Woźniakowskiego i Axera. Znow SŁOWA tworzą rzeczywistość. Dziecko zyskuje jednak jeszcze jeden przydomek, pod którym funkcjonuje w prasie. Kropelka. Bo do jej poczęcia wystarczyła kropła. Nie ma wtedy co prawda jeszcze testów na ojcostwo, ale krew nie kłamie. Gdyby chwilę się w nią uważnie wsłuchać, z pewnością wyszeptałaby prawdę. Zaremba nie uznaje jednak dziecka jako swojego, a Ewa otrzymuje panieńskie nazwisko matki.

Obydwie stają się tak znane, że gdy po okresie połogu Gorgonową z nowo narodzonym dzieckiem próbuje się przewieźć w tajemnicy, pod osłoną nocy ze Lwowa do Krakowa, o wieściach dowiadują się tłumy. SŁOWO jest podawane z wagonu do wagonu, ze stacji do stacji i niesie się z szybkością światła. SŁOWO próbuje się wedrzeć do wagonu, choć odgradza mu się wszelkie

możliwe drogi dojścia. Zaczyna też obowiązywać nowe prawo. Zasądzony czyn klasyfikuje się jako mord w afekcie. SŁOWO jest przecież elastyczne. Ostatecznie wyrok zamienia się w ośmioletnie więzienie. Matka może z początku przebywać z dzieckiem. Podobno powtarza, że Kropelka uratowała jej życie i niespodziewane macierzyństwo początkowo skutecznie odciąga od niej czarne myśli. Nadchodzi jednak nieuniknione, Ewę odbiera się matce i umieszcza w sierocińcu we Lwowie. Tam też dziewczynka zyskuje trzecie, najbardziej znienawidzone imię – Gorgonicha. Córka Gorgonowej. Ta, która przesiąknęła SŁOWEM. Zła sława matki ciągnie się za nią jak przekleństwo. Długo nie może też pozbyć się lwowskiego akcentu. SŁOWO śledzi ją wszędzie i Ewie przyjdzie jeszcze wiele wycierpieć z tego powodu. Buzująca jednak wściekle w żyłach krew podpowiada jej, że matka jest niewinna. Ma silny charakter i uczy się bronić pazurami, walczy jak rozwścieczona suka. W obronie honoru własnego i rodziny. Rodziny, czyli matki, bowiem ojciec ją porzucił i nie chce znać. Pełna złości za każde oczerniające SŁOWO odgryza się bez wahania. Ma nawet nikłe wspomnienie matki, które zawsze dodaje jej sił. Siostry



zakonne z sierocińca wiozą ją do więzienia. Wytęsknio-
na mama siedzi smutna w celi. Żeby ją rozweselić, Ewa
wysyła jej później rysunki. Domek, gruszkę, różowe śla-
dy na śniegu. SŁOWA. Przedmioty. Najważniejsze w całej
sprawie SŁOWO jednak nie pada. Gorgonowa nigdy nie
przyznaje się do winy.

Chwila ciszy. Fade out. Gdy emocje po głośnej sprawie już opadły, pozostawiona na pastwę losu, owiana fatalną sławą willa gniła opuszczona. Zmurszałe mury kruślały, roślinność zdecydowanie wzięła architekturę pod swoje bujne władanie. Jedynym zainteresowanym nią odkrywcą była niegroźna szajka małoletnich okolicznych łobuzów, którzy z łatwością wkradali się do wnętrza i z lubością wdychali tajemnicę. Tutaj oddycha się mrozem, niesfornym włosiem futra, rdzą dżaganu. Jednym z tych chłopców był syn dyrektora Rudzińskiego, przyszły mąż siostry babci, który z dzieciństwa pamięta posiadłość w Brzuchowicach. W szczerzej chłopięcej zabawie i nabożności wobec grozy miejsca więcej było szacunku niż w zorganizowanych w atmosferze nagonki i sensacji wizjach lokalnych z udziałem domniemanej zabójczyni. I kto wie, może nikt nie był bliżej prawdy o całej sprawie niż grupka tych niewinnych chłopaków? Oni przynajmniej rozumieli, że prawdę znają tylko brzuchowickie drzewa i cegły. Bądź grzeczny, bo przyjdzie po ciebie Gorgonowa.

Wedle opowieści wuja do Brzuchowic chodziło się piechotą. Ośmiokilometrowy dystans dzielący dziel-

nicę od centrum Lwowa stanowi rzeczywiście bardzo zgrabny materiał do spaceru. Na rodzinnej fotografii widzę dyrektora Rudzińskiego w kapeluszu, w spodniach w kancik, kroczącego dumnie, spokojnie. Skąd to wiem? Nie wiem, ale takie SŁOWA cisną się na usta, tak w mojej głowie animuje się to zdjęcie. Zaokrąglony, lecz młody jeszcze mężczyzna idzie w tłumie innych Lwowian. Takie niedzielne przechadzki były ponoć tradycją. Odwiedzając Lwów, postanowiłam kontynuować zwyczaj z rodzinnych opowieści i pokonać taki dystans. Namówiłam kolegów i wyruszyliśmy, pieczołowicie wypacając alkohol spożyty dzień wcześniej. Słońce zostawiało na moich plecach czerwone ślady, a niesforne myśli przyparwiały mnie o nastoletnie dreszcze. Duchota powodowała lekkie zawroty głowy, nie pomagały ochoczo palone, ręcznie skręcane papierosy ani krótkie postoje w cieniu grusz o dziwnie wierzbowatych liściach. Las szemrał z gorąca, a umysł zaczynał płątać figle i na pustej, przecinanej od czasu do czasu rozklekotanymi samochodami drodze dało się słyszeć śpiewy, chichoty i wesołe nawoływania. Może sprawiło to zmęczenie, może sama to spowodowałam? A może nie pozostał

obojętnym fakt, że byłam potomkinią szczególnie wrażliwą na SŁOWO? Może to chora atmosfera, magia tego miejsca i obciążająca legenda okolicy sprawiły, że kiedy u celu położyłam się na plecach na jednym z wielkich pni powalonych drzew i spojrzałam w koronę listowia, zobaczyłam twarz Gorgonowej?

Naukowcy nazywają takie zjawisko pareidolią. Dopatrywanie się kształtów, na przykład ludzkiej twarzy w najbliższym otoczeniu. Tak jak widzenie w chmurach zabawek, zwierząt, bohaterów bajek. Coś co stanowiło niezłą zabawę w dzieciństwie, zostaje zdefiniowane przez SŁOWO. Zjawisko zostaje nazwane, czy traci tym samym swą moc? Czy SŁOWO odbiera, czy wzmacnia siłę jego oddziaływania? Skłonność uznana jako nadinterpretacja, nadużycie, wręcz wytłumaczenie cudownych objawień. Ach, tak łatwo wytłumaczyć, tak prosto zniweczyć wysiłek wyobraźni! Racjonalność, rozum, SŁOWO. Wpisanie w schemat, wzór, formułę. Rozpisanie ostatnim kawałkiem kredy na części pierwsze i umieszczenie w duszącym pyłe tasiemca znaków. Wyznaczenie prawdopodobieństwa, wyliczenie obwodu, objętości, dokładnego umiejscowienia na osi x i y .

W takich kredowych zapisach na tablicy również miałam zwyczaj odnajdywania ludzkich twarzy. Nie, nie w szkole. Przesiedleńcy ze Lwowa osiadają między innymi w Gliwicach, Politechnika Lwowska przelewa się na Śląską, gdzie lata później studiuje, a potem wykłada mój ojciec Jacek. To tam spędzam długie godziny, próbując

na wszelkie sposoby zabić nudę, kiedy wszystkie zadane w szkole lekcje są już odrobione. Zaglądam do szafek, wyglądam przez okno gabinetu na ostatnim, ósmym piętrze corbusierowskiego w tym czasie budynku, który w pewnym momencie posłuży policjantom z pobliskiej komendy do obserwacji złodziei samochodów na rozpościerającym się poniżej parkingu. Z fascynacją obserwuję również parapety i półki, które w tym jakże męskim środowisku, z tygodnia na tydzień obrastają kurzem. Czasem nawet odważam się zatopić palec w takiej efemerycznej warstewce i czyszcząc w niej ścieżkę, wykonać nieskomplikowany rysunek. Te próby tak mnie rozochocają, że raz nawet rysuję tacie jego karykaturę! To tam wypijam pierwszą w swoim życiu kawę, to również tam w kształcie włoskiego orzecha na ciastku z kremem dostrzegam ludzki mózg. Politechnikę pamiętam dobrze z kolejnych wizyt. Tam SŁOWA nabierały zupełnie innej mocy, pochodziły z innego środowiska. Przybierały postać matematycznych wzorów. Naukowcy nie lubią SŁÓW, wymyślili własny język, po to żeby od SŁÓW się uwolnić. Wyliczyli nawet, że w pewne gorące majowe popołudnie w liściach drzew gruszy wierzbolistnej

nie było twarzy Gorgonowej. To tylko tymczasowy układ form w konkretnych punktach w przestrzeni euklidesowej sprawił, że podatny umysł i oko pewnej potomkini SŁOWA dostrzegły w nim dokładnie to, co chciały.

W tym czasie sprawa Gorgonowej blednie. Po przesiedleniach ludność ulega wymianie. W szkołach nie uczy się przedwojennej historii Lwowa. O Gorgonowej się nie wie, nie mówi. SŁOWO przyczaja się. Historia pozostałej rodziny również nosi tragiczne rysy. Zaremba traci pracę, Staś ginie w wypadku w górach. W tej rodzinie Sylwestra nie obchodzi się już nigdy, tak jakby czas się zatrzymał. SŁOWO stoi w miejscu. Z tego czasu pochodzi też inna wyświechtana opowieść z wielokrotnie powtarzаныmi SŁOWAMI. Rodzinny skarb, który stanowiła drewniana skrzynia pełna srebra, został zakopany pod gruszą. Babcia pamięta strzępki ucieczki w 1945 roku. Jest już dziewczynką w wieku szkolnym. Opowiada potem, że Ruscy bagnetami przebijają kosze z porcelaną, żeby sprawdzić, czy nikt nie jest w nich przewożony. Kiedy następują lwowskie przesiedlenia, babcia z rodzicami i siostrą wykopują w ogrodzie dół i chowają do niego cenniejszy dobytek. Może to i prawda? Będąc jednak we Lwowie, nie wiedziałam, gdzie szukać. Może też średnio wierzyłam SŁOWOM babci? Bo jej instrukcje przez lata się zmieniały. Raz było to trzydzieści kroków od gruszy na wschód, innym razem szesnaście. Gdy po

latach przyjeżdżam na ulicę z rodzinnym skarbem, kierowana bardziej sentymentem niż nadzieją na wzbogacenie się, po rodzinnym domu już ani widu, ani słyhu. Tak samo jak po gruszy, która mogła być jedynym charakterystycznym na tym terenie punktem. Trudno mi właściwie poczuć jakąkolwiek łączność z tym miejscem. Trzeba wyteżać wyobraźnię, może ją odpowiednio nagiąć? Może intensywniej wykorzystać SŁOWO? Może tego nie umiem. Jestem w końcu trzecim pokoleniem, które dziedziczy SŁOWO. A w końcu nawet ono, mimo swej wielkiej potęgi, rozdrabnia się i kruszy.

Dramat kryminalny z Ewą Dańkowską w roli głównej wchodzi na ekrany kin w latach siedemdziesiątych. Podobno całą historią swego czasu interesuje się nawet Hollywood, całość jednak traci swój scenariuszowy czar, gdy Gorgonowa oskarżona zostaje jako winna. Polski film eksponuje głównie rozprawę sądową, nie dostarcza jednak gotowych odpowiedzi, stawia znacznie więcej pytań. Ciekawe, czy Gorgonowa siedzi na sali kinowej? Czy kiedykolwiek minęły jej młodzieńcze marzenia o aktorstwie? Kobieta rzeczywiście ogląda film w Opolu, gdzie się chwilowo osiedliła i gdzie prowadzi swój kiosk. Siedzi w kinie i płacze. Nikt na szczęście nie wie dlaczego i kim jest. Pod nosem przeklina tylko, co nie do końca przystoi siedemdziesięciosześcioletniej staruszce, sposób, w jaki na te ekrany ostatecznie trafiła. Złe SŁOWO ściga człowieka do końca dni. Jakby jednak na to nie patrzeć, to ona jest pierwowzorem, więc może sukces jest nawet jeszcze większy, niż mogłaby go sobie kiedykolwiek wyobrazić? Ale nie może jej opuścić wrażenie, że coś ją ominęło, coś potoczyło się za szybko, nie w tę co miało stronę. Obraz jednak nie kłamie, na ekranie ogląda swoje życie i słyszy znajome skądś SŁOWA. Następują gromkie brawa.



Mała wieś między Wrocławiem a Kluczborkiem. To tam jakieś cztery miesiące mieszkała Gorgonowa, przyjażniąc się ponoć tylko z pewnym małżeństwem. Na wolność wychodzi trzeciego dnia wojny. Podobno większość czasu spędza w Warszawie. Radzi sobie dobrze, dba o siebie, powraca uroda, elegancki wygląd zapewniają jej pieniądze. SŁOWO głosi o śladach wcześniejszej jej obecności we Wrocławiu i Opolu, gdzie zostaje niestety ponownie rozpoznana. Popełnia błąd, próbując budować nowe życie na terenach zajmowanych przez przesiedleńców. Bo ci dobrze znają lwowskie historie. SŁOWO umiera ostatnie.

Ślad po Gorgonowej zaciera się dopiero tu. Zajmuje dom z małżeństwem, które twierdzi później, że kobieta zniknęła nagle, bez wytłumaczenia. Jest 1945 rok. Para oskarża ją o kradzież, Gorgonowa ucieka ponoć z ich srebrem. Wieść głosiła jednak, że to przecież ona była bogata. Inna wieść gminna głosi z kolei, że małżeństwo nigdy nie wchodziło już na strych swojego domu. SŁOWO nie zapomina. Inni twierdzą, że zwłoki Gorgonowej zostały zakopane w ogrodzie z rzadkim w tym rejonie gatunkiem gruszy wierzbolistnej. Przywieźli ją podob-



no pierwsi w tych rejonach lwowsky przesiedleńcy, którzy nadmiernie delikatnie obchodzili się z tajemniczymi roślinnymi paczuszkami zmaltretowanymi po długiej podróży. Karłowate grusze, nazywane przez nich samych lwowskimi cudami, w krótkim czasie opanowały całe podwórze. Podobno za każdym razem, kiedy z drzewa spadała gruszka, rodzina pamiętająca z czasów wojny przede wszystkim głód, uparcie dywagowała, jaki znaleźć sposób na zjedzenie tych trudnych do przyswojenia, drobnych owoców.

Po latach w podeszłym już wieku córka Ewa wynajmuje adwokata, by w końcu ktoś wybronił Gorgonową. By już nigdy nie padło SŁOWO morderczyni. Bo SŁOWA jednak wiele znaczą i wiele mogą. Chciałaby być pochowana koło matki. I tylko napisy końcowe mają problem z przypisaniem ról. Margarita Gorgonowa. Wystąpiła w roli zabójczyni czy jednak ofiary?

THE END

Spis

treści:

§1

§2

§3

§4

§5

§6

§7

§8

§9

§10

§11

§12

§13

słowo czerpane z:

Cezary Łazarewicz, *Koronkowa robota. Sprawa Gorgonowej*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2018.
Sławomir Koper, *Afery i skandale Drugiej Rzeczypospolitej*, Wydawnictwo Bellona, Warszawa 2011.

Publikacja jest częścią projektu artystycznego, który powstał na wystawę „Wolność” (24.01-31.03.2019) organizowaną przez Pałac Schoena Muzeum w Sosnowcu po plenerze we Lwowie w ramach XXI Sosnowieckich Spotkań Artystycznych (22-26.05.2018).

Izabela Łęska
Słowo w SŁOWO
Kraków 2019

Pomysł, tekst opowiadania: Izabela Łęska
Projekt, łamanie, fotografie, wydawca: Katarzyna Ewa Legendź
Korekta tekstu: Beata Nycz
Kurator: Ilona Gajda

ISBN: 978-83-934171-4-8



PALĄC SCHOENA
MUZEUM W SOSNOWCU

Pałac Schoena Muzeum w Sosnowcu
ul. Chemiczna 12
41-205 Sosnowiec

XXI Sosnowieckie Spotkania Artystyczne
Lwów 2018

,

**izabela
łęska**

Izabela Łęska
Wydział Sztuki
Uniwersytet Pedagogiczny
im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie
www.izabelaleska.com

Publikacja dostępna jako e-book pod adresem
www.izabelaleska.com/portret-gorgonowej.

